

◆◆WYDANIE SPECJALNE◆◆

Styczeń 2021, nr 1/2021 (137)
ISSN 2299-5897



GŁOS POCIESZENIA



Pismo Parafii św. Klemensa Dworzaka we Wrocławiu wydawane od 1988 roku
- JEZUICI -



ŚP.

O. JAN OŻÓG SJ

12.03.1934 – 3.12.2020

OJCIEC JAN OŻÓG SJ



We wrześniu 1953 r. rozpoczął studia filozofii tomistycznej w Krakowie, które ukończył 13 czerwca 1956 r. ze stopniem licencjata. Następnym etapem była Warszawa, gdzie Jan zaczął studiować teologię, także opartą na tomizmie.

29 czerwca 1959 r. przyjął sakrament kapłaństwa. Kilka miesięcy po święceniach, we wrześniu 1961 r., wybrał się z Krakowa do leżącego jeszcze w gruzach Wrocławia, tam zdał egzamin wstępny na filologię klasyczną na tamtejszym uniwersytecie, noszącym wtedy imię Bolesława Bieruta.

Po ukończeniu studiów przełożeni skierowali go do Starej Wsi, gdzie najpierw uczył jezuickich kleryków języka łacińskiego, a potem historii literatury polskiej.

Nie trwało to jednak zbyt długo, bo na talenty językowe o. Jana zwrócił uwagę ówczesny dyrektor WAM, ksiądz Eugeniusz Ożóg SJ (który nie był z nim spokrewniony) i powołał go w 1974 r. na redaktora naczelnego wydawnictwa.

Koniec lat siedemdziesiątych to wyjazd do Chicago i praca w redakcji tamtejszego „Posłańca”, kiedy jednak powrócił do Polski, żeby do końca załatwić sprawy wizowe, mianowano go redaktorem naczelnym wznawianego właśnie „Posłańca Serca Jezusowego”. Na dwa dni przed ogłoszeniem stanu wojennego, udało się nawet wydać pierwszy numer tego miesięcznika. W 1988 r. cukrzyca i związane z nią dolegliwości spowodowały, że poprosił ówczesnego prowincjała o zwolnienie z pełnienia obowiązku redaktora naczelnego gazety.

Od 1995 r. przez trzy lata pracował w kościele św. Ignacego Loyoli we Wrocławiu, potem sześć lat spędził w Zakopanem – pracował jako operariusz, bibliotekarz, kapelan Duszpasterstwa Trzeźwości i od 2000 r. – minister wspólnoty.

I nadszedł rok 2004, kiedy o. Jan rozpoczął ostatni etap swojego życia przybываяc ponownie do Wrocławia, tym ra-

Wjednej na świecie wiosce o nazwie Trzeboś nad rzeczką Trzebośnią, w niecce sandomiersko-kolbuszowskiej, w poniedziałek 12 marca 1934 r., w rodzinie Antoniego Ożoga i jego żony Marii, z domu Kurasińskiej, przyszedł na świat chłopiec, któremu nadano imię Jan. Ponieważ niemowlę zapadło poważnie na zdrowiu, ochrzczono go już 15 marca i jak sam ojciec Jan wspominał: *Pewnie Pan Jezus sprawił, że jakoś się wydobyłem ze szpon tej straszliwej choroby, wyzdrowiałem i... zacząłem kwitnąć.*

Pod czujnym okiem mamy, która *przycinała we mnie wszystkie dzikie pędy, które rosły bardzo szybko i bardzo obficie, i starannie dbała o to, żebym się w jakiś chwast nie przerodził*, młody Janek росł w przekonaniu, że zostanie księdzem.



Pod koniec sierpnia 1948 r. dostał się do Małego Seminarium Księży Jezuitów w Nowym Sączu. Tam ukończył dziewiątą klasę i 30. lipca 1949 r. zameldował się na furcie klasztoru ojców jezuitów w Starej Wsi. Tego samego dnia rozpoczął nowicjat, a po złożeniu pierwszych ślubów zakonnych i po następnych dwóch latach zdał maturę typu klasycznego.

zem do parafii św. Klemensa Dworzaka, gdzie posługiwał aż do śmierci, będąc tu operariuszem, duchownym domu, piszącym historię domu, spowiednikiem.

Miał wielką wiedzę i umiejętności – znał dobrze łacinę, grekę, niemiecki, włoski, francuski, angielski i wykorzystywał je do przekładów wielu tekstów i książek na język polski, jak np. *Ćwiczenia Duchowe* św. Ignacego Loyoli czy *O naśladowaniu Chrystusa* Tomasza à Kempis. Współbraci ubogali i rozweselał barwnymi opisami życia wspólnotowego zamieszczanymi w wewnątrzzakonnych periodykach. Od lat w „Głosie Pocieszenia” można było czytać jego teksty w ru-

bryce *Zamyślenia ojca Jana* – już go nie spotkamy na naszych łamach...

W listopadzie tego roku trafił, z powodu zakażenia koronawirusem, do szpitala przy ul. Weigla. Ofiarna praca personelu medycznego nie potrafiła, niestety, go ocalić.

W czwartek 3 grudnia, w święto św. Franciszka Ksawerego, patrona kapłanów w Towarzystwie Jezusowym, o godz. 10.15 o. Jan oddał swoje życie w ręce Tego, na którego tak bardzo przez całe życie czekał.

Nie zapominaj o nas ojcie Janie i pomagaj zanosić nasze modlitwy do Pana, Amen. **Oprac. BC**



Józef Kupny
Arcybiskup Metropolita Wrocławski

Wrocław, dnia 14 grudnia 2020 r.

Drodzy Uczestnicy liturgii pogrzebowej śp. o. Jana OŻOGA SJ

*Gdy rozpadnie się dom
doczesnej pielgrzymki, znajdą przygotowane
w niebie wieczne mieszkanie...*

(Prefacja żałobna)

Chrześcijańska nadzieja przeplatana smutkiem – to uczucia jakie towarzyszyły mi, kiedy otrzymałem informację o śmierci o. Jana, wieloletniego duszpasterza, spowiednika i kierownika duchowego, a także nauczyciela i wychowawcy wielu pokoleń jezuickich kleryków.

Źródłem tej nadziei jest obietnica, jaką swoim uczniom złożył Jezus Chrystus: „Gdy odejdę i przygotuję wam miejsce, przyjdę powtórnie i zabiorę was do siebie, abyście i wy byli tam, gdzie Ja jestem”. Smutek zaś rodzi się, gdy uświadomimy sobie, że nie ma wśród nas Kapłana, z którego posługi i świadectwa wiary wielu czerpało.

Możemy mieć pewność, że śp. o. Jan w ludziach, którym służył i którym głosił Dobrą Nowinę, pozostawił jakąś część siebie. Ta część nie umiera. Ona nadal żyje. Dobro zaś, którego doświadczyliście dzięki Jego posłudze niech będzie inspiracją dla kolejnych pokoleń budujących wspólnoty, którym On z takim oddaniem służył, przy podejmowaniu codziennych życiowych wyborów.

Łączę się duchowo z wszystkimi uczestnikami liturgii pogrzebowej, przesyłam wyrazy współczucia oraz zapewniam o pamięci w modlitwie w intencji zmarłego Kapłana oraz wszystkich, których Jego śmierć dotknęła.

*Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie,
a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki.*



+ Józef Kupny

+ Józef Kupny
Arcybiskup Metropolita Wrocławski

MIAŁEM OKAZJĘ ŻYĆ Z WYJĄTKOWYM CZŁOWIEKIEM

Stojący pod znakiem pandemii rok 2020 z pewnością przejdzie do historii jako rok smutny. Dla nas jezuitów i naszej wspólnoty parafialnej trudnym doświadczeniem była śmierć Ojca Jana Ożoga, który przegrał walkę z chorobą wywołaną zakażeniem koronawirusem. Cieszę się, że krótko po jego odejściu ukazuje się specjalny numer „Głosu Poczieszenia” poświęcony jego osobie i życiu. Ojciec Jan bez wątpienia na to zasługuje, bo był człowiekiem pod wieloma względami wyjątkowym.

Poznałem go w roku 1995, gdy dołączył do wspólnoty przy ul. Stysia we Wrocławiu. Miałem wtedy okazję przez trzy lata żyć z nim pod jednym dachem, spotykać się, dyskutować przy kawie i rozmawiać przy stole. Od czasu jego przybycia rozmowy nabrały szerszego kontekstu, głębszego sensu, interesującego przebiegu i subtelny dowcipu. Ojciec Jan bowiem w tamtym czasie był człowiekiem mającym już za sobą wiele lat pracy w roli nauczyciela łaciny i patrologii jezuickich kleryków oraz kilkanaście lat doświadczenia jako redaktor „Posłańca Serca Jezusowego”. Z tej racji dużo czytał i pisał. Właśnie tę szczególną jakość intelektualną wnosił w nasze rozmowy przy stole we wspólnotę na Stysia. Za to go szczególnie ceniłem i takim go zapamiętałem z tamtych czasów. I ceniłem go za subtelny dowcip, którym po części obdarowała go natura, a po części sam w sobie wyrobił. Jego ulubioną książką – jak wówczas mówił – była *Przygody dobrego wojaka Szwejka*, którą do tamtego czasu przeczytał już sześć razy, a która do dzisiaj stoi na półce w jego pokoju.

Gdy przyjechałem w 2014 r. na Aleję Pracy, znowu znaleźliśmy się w jednej wspólnotce. Ojciec Jan był w świetnej fizycznej i intelektualnej kondycji jak kilkanaście lat wcześniej, gdy się rozstawaliśmy. Pod względem fizycznym jedynie nogi odmawiały mu czasem posłuszeństwa, w sferze intelektualnej natomiast nastąpiła niezwykła przemiana, bo do dawnego czytania doszła głębia duchowa i dojrzała mądrość. Zajmował się wieloma dziedzinami z zakresu życia duchowego, a w szczególności z duchowości ignacjańskiej; napisał obszerny komentarz do *Ćwiczeń Duchowych* św. Ignacego i przetłumaczył dyrektoria dla dających rekolekcje ignacjańskie, stając się w ten sposób specjalistą w tej dziedzinie. Świetnie znał się na liturgii i liturgicznych przepisach, cały czas pogłębiał swoją wiedzę o *Piśmie Świętym* i w dziedzinie teologii. Pamiętam jak czytał obszernie dzieło napisane przez kard. Gerharda Müllera, prefekta Kongregacji Nauki Wiary, zatytułowane: *Dogmatyka katolicka*. Dzieło zostało wydane w 2015 r. po polsku i tę wersję czytał Ojciec Jan. Kiedyś powiedział do mnie: *Jest parę miejsc w tekście, których nie rozumiem i przypuszczam, że jest to kwestia niedokładnego tłumaczenia. Czy nie mógłbyś mi sprowadzić tej książki w oryginalnej z Niemiec?* Długo się z tym ociągałem, a i Ojciec Jan nie naciskał, więc sprawa rozeszła się po kościołach. Mam nadzieję, że

Ojciec mi to wybaczył, przecież tam, gdzie teraz przebywa, wszystko jest już dla niego jasne. Wtedy byłem jednak zaskoczony jego docieklivością i rzetelnością studiowania.

W naszej wrocławskiej wspólnotce nazywaliśmy Ojca Jana „Dziadkiem”, co mu się zresztą podobało. Żywo uczestniczył w życiu wspólnotowym, lubił nas, a my jego. Normalną praktyką jest, że każdy członek wspólnoty składa u przełożonego listę osób, które należy powiadomić w przypadku śmierci. Złożył taką listę również „Dziadek”, ale – jak to on – dodał do niej wstęp i zakończenie. Po podaniu paru nazwisk, w zakończeniu napisał takie słowa: *Oczywiście w czyśćcu, a tym bardziej w niebie, będę się modlił za cały nasz dom, bo mi tu było bardzo dobrze*. I ja też jestem przekonany, że „Dziadkowi” było dobrze w naszej wspólnotce zakonnej, ale było mu też dobrze w naszej wspólnotce parafialnej – wśród wiernych, którym chętnie posługiwał jako kapłan, spowiednik i kierownik duchowy. Do ostatnich dni mówił do mnie: *Jeśli jest potrzeba zrobić coś dodatkowego, to wyznacz mnie bez pytania*.

Kiedy Ojciec Jan ostatnio zachorował, poprosił o Sakrament Namaszczenia Chorych. Ostatecznie, przed pójściem do szpitala przyjął wszystkie możliwe sakramenty: Pokuty i Pojednania, Namaszczenia Chorych i Komunię św. Pobyt w szpitalu znosił dzielnie. Lekarka prowadząca, z którą codziennie rozmawiałem, była pod wrażeniem jego chrześcijańskiej postawy umierania, jak również zbudowani byli inni chorzy i personel na oddziale. Pani doktor mówiła, że *Ojciec Jan jest spokojny, modli się cały czas na różańcu, wszystkim błogosławi i cieszy się, że niedługo spotka się z Panem Jezusem*. Podobnie jak w życiu, tak i w umieraniu Ojciec Jan pozostał wyjątkowy.

o. Janusz Śliwa SJ, proboszcz



foto: Bogdan Szyszko

ZOSTANĄ PO NICH BUTY I TELEFON... GŁUCHY...



foto. Bogdan Szyszko

Buty i telefon głuchy zostały mi po Tadiu Zaporowskim. Buty, wypastowane na glanc przez Józka Steczka, zakładałem Tadiowi do trumny, a z jego własnego telefonu, który oddali mi na komendzie w Ziębicach, gdzie zginął, dzwoniłem do jego szwagra, by poinformować go o Tadiowej śmierci. Ale to była nagła śmierć. Niespodziewana.

Z Dziadkiem było inaczej. Dziadek już od wielu lat mówił, że chce do Pana Jezusa. On i siebie, i nas na tę śmierć przygotowywał. Po Dziadku zostały wspomnienia spełnionego życia.

Oczywiście słyszałem o nim wcześniej i wiedziałem kto zacz, ale tak naprawdę, tak z bliska, poznałem go dopiero, gdy razem mieszkaliśmy przy Alei Pracy.

Stary – w jak najlepszym znaczeniu tego słowa – rasowy, czyli solidnie wykształcony, bardzo inteligentny i jeszcze bardziej złośliwy jezuita. Dużo wiedział, mądrze gadał (ileż to rozmów przy popołudniowej kawie w auli!) i ślicznie pisał. Czytelniczki „Głosu Pocieszenia” wiedzą o tym doskonale. Ale nie tylko oni. Pisane do jezuickiego biuletynu, Dziadkowe relacje z życia wspólnoty przy Alei Pracy, w których występował w trzech różnych rolach (sam się w nich obsadzał), czyli „ojca duchownego”, „seniora” i „niżej podpisanego”, były pisane tak ładną polszczyzną i tak skrzyły się od błyskotliwych anegdot i historyjek, że wielu właśnie od jego tekstów zaczynało comiesięczną lekturę owego biuletynu. Świat, w którym żyjemy, przyzwyczaił nas do językowego niedbalstwa i bylejakości, a Dziadek był w tym względzie *jak lilia między ciernie*, przywracając wiarę w to, że można.

Był jednym z naszych ostatnich, wybitnych łacinników. Wiele naszych jezuickich źródłowych tekstów ukazało się po polsku dzięki jego tłumaczeniom, a wiele innych tłumaczeń nie odbiegało zbyt daleko od łacińskiego oryginału dzięki temu, że *tekst przejrzał i z łacińskim oryginałem porównał o. Jan Ożóg SJ*. Sam tego doświadczyłem. Kilka lat temu, mając do dyspozycji sporo czasu, przetłumaczyłem na język polski niezbyt duży tekst o początkach Towarzystwa Jezusowego, autorstwa jednego z pierwszych dziesięciu jezuitów. Tłumaczyłem

z angielskiego, natomiast oryginał był napisany po łacinie, czyli w języku dla mnie niemal niedostępnym. Gdy więc zakończyłem swoją pracę, napisałem grzeczny mail do Dziadka, prosząc o porównanie mojego tłumaczenia z oryginałem i naniesienie ewentualnych poprawek. Po wielu miesiącach otrzymałem swój tekst z powrotem. Natychmiast otworzyłem załącznik i... szybko go zamknąłem. Na wypieszczonym przeze mnie tłumaczeniu, którym – u jezuita to rzecz oczywista – byłem zachwycony, zobaczyłem bowiem mnóstwo dopisków, notatek i uwag pisanych chyba wszelkimi możliwymi kolorami. Czułem się zdruzgotany. Po pierwsze dlatego, że aż tyle niezgodności z oryginałem, a po drugie, że nigdy nie zdołałem rozszyfrować, co znaczą te wszystkie kolory, bo sam nie mam zamiaru dochodzić, a Dziadka pytać mi niezręcznie. Innymi słowy: *kopać nie umiem, żebrać się wstydzę*. Zamknąłem więc załącznik, zamknąłem mail i przez prawie trzy lata do tego nie wracałem. Potem jednak, pod namową jednego z przyjaciół, doszedłem do wniosku, że trzeba spokojnie i zmierzyć się z tekstem mojego tłumaczenia jeszcze raz. Odnalazłem zatem Dziadkowy mail i... jakież było moje zdziwienie, gdy przeczytałem w nim te oto słowa, których bielmo złości na oczach nie pozwoliło mi dostrzec trzy lata wcześniej: *Ojciec Wojciechu miły, dziękuję serdecznie za twoje tłumaczenie. Moim zdaniem rzecz idealnie nadaje się do druku. Naniósłem trochę poprawek, a reszta to moje stylistyczne sugestie, które potraktuj jak uważasz. (...) Być może niektóre z tych sugestii są pisane różnymi kolorami czcionek, ale to niczego innego nie oznacza poza tym, że jestem daltonistą*. Bo Dziadek to był mądry, dobry i pokorny człowiek. I choć był daltonistą, to postacią był niezwykle barwną.

Bardzo lubiłem jego inteligentne złośliwości we wspólnotowych rozmowach i równie chętnie służyłem jego opowieści o tym, *jak to drzewiej w Towarzystwie bywało*. Imponowała mi jego biegłość w kwestiach komputerowych, choć fakt, że senior naszej wspólnoty prenumeruje komputerowe czasopiśma i śmiga na komputerze lepiej od nas wszystkich, był jedno-

Wspomnienia współbraci

c.d. ze str. 5

cześnie – powiedzmy to delikatnie – dość upokarzający. Ceniłem też jego podejście do kobiet. Z wieloma z nich łączyły go więzy wieloletnich, bliskich, ciepłych, ojcowskich relacji, a spotkania z nimi radośnie celebrował, opowiadając nam o tym: *A do starego grzyba przyjeżdża dziś moja kochana Aneczka! To jest moja przyjaciółka pci damskiej* (tak „pci”, nie „płci”- przyp. WZ).

To wszystko są rzeczy, które w Dziadku ceniłem, ale było też coś, co mnie bardzo wzruszyło i kiedy myślę o nim, to przede wszystkim z tej perspektywy. Jak wielu jezuitów, Dziadek był człowiekiem po przejściach, czyli wyciągniętym przez Pana Jezusa za uszy z jakiegoś bagna. W jego przypadku tym bagnem był alkohol. Niewielu o tym wiedziało, bo po pierwsze nie obnosił się z tym, a po drugie już tak wiele lat trwał w trzeźwości i absolutnej abstynencji, że aż trudno byłoby go z alkoholem skojarzyć. Kiedyś jednak było inaczej i gdyby nie Pan Jezus... Właśnie historia Dziadkowego ocalenia wzrusza mnie najbardziej. Do dziś. Opowiadam ją tutaj, bo świadczy nie tylko o mocy Bożej łaski, ale też o wrażliwości i czułości Dziadkowego serca. Jak to zazwyczaj bywa w przypadku alkoholików, jego problem widzieli wszyscy naokoło, i tylko on nie chciał o nim słyszeć, konsekwentnie wmawiając sobie, że daje radę i że nad wszystkim panuje. Przełom przyszedł pewnego roku w Niedzielę Palmową, której Dziadek zupełnie nie mógł pamiętać, bo ją całą przespał, na skutek alkoholowego upojenia. Kiedy obudził się w Wielki Poniedziałek i gdy dotarło do niego, co się stało, był cały wstrząśnięty i poruszony. Nie zareagował jednak wściekłością, ani chorymi postanowieniami poprawy, co już

tylko raz doprowadzało go do upadków, tylko pokornie poszedł do superiora i powiedział: *Zawieź mnie na leczenie. Nie chcę tak żyć. Jeśli Pan Jezus zbawił grzeszników, to może i nademną się zlituje.*

Uważam to za wielką łaskę, że dzięki byciu jezuitą mogłem mieszkać, żyć i pracować z ludźmi, którzy choć słabi i grzeszni, to na dnie swej słabości odnaleźli ufność do Pana Jezusa, który przeprowadził ich ze śmierci do życia. Uważam to za wielką łaskę, że dzięki pracy we Wrocławiu, mogłem przez trzy lata mieszkać, żyć i pracować z jednym z nich.

Ojciec Janie! Dziadku drogi! Dziękuję. Do zobaczenia.

Wojciech Ziółek SJ



foto. Bogdan Szyszko

BĘDZIE DLA CIEBIE LEPIEJ, JEŚLI UMRĘ

KRÓTKA HISTORIA SPOTKANIA DWÓCH JANÓW

W czwartki zaczynam wykłady dopiero po południu. Przed obiadem byłem na swojej modlitwie w oratorium naszego krakowskiego kolegium. Na ekranie telefonu miałem wyświetloną ewangelię z dnia: *Nie każdy, który Mi mówi: Panie, Panie, wejdzie do królestwa niebieskiego, lecz ten, kto spełnia wolę mojego Ojca, który jest w niebie.* W trakcie rozważania tych słów na ekranie pojawiła się wiadomość od socjusza ojca prowincjała z informacją o śmierci Ojca Jana. Poleciały mi łzy, sercem poczułem ogromną stratę. Wstałem, na wpół łamiącym się głosem odśpiewałem *Te Deum*, a potem powróciłem do słów ewangelii, czując ogromną wdzięczność, że swoim życiem o. Jan Ożóg SJ ukazał mi piękne świadectwo budowania na skale, na Chrystusie i miłości do Niego. I trwałem w pokoju na myśl, że ogląda już teraz Stwórcę twarzą w twarz.



foto. archiwum Jana Giąby SJ

Moja relacja z ojcem Janem sprowadza się do wielu pięknych, ale w swej strukturze bardzo prostych, zwyczajnych, codziennych wspomnień. Jako dziecko miałem go za poważnego sędziwego księdza, jako nastolatek – za jezuitę wielkiego formatu intelektualnego i duchowego, jako jezuitki nowicjusz za wzór i wsparcie, a kiedy odprawialiśmy miesięczne Ćwiczenia Duchowne na podstawie jego tłumaczenia, z dumą wspominałem, że z tłumaczem książeczki dobrze się znamy, przybliżając współbraciom jego sylwetkę.

To, co noszę jako dużą radość i sentyment, to fakt, że o. Jan był pierwszym księdzem, u którego służyłem do mszy. Nasza niedzielna 6:30, tzw. „cicha” msza. Z pieśnią na odsłonięcie wizerunku naszej Matki Pocieszenia, którą, gdy tylko mógł, witał z pierwszej ławki. Chodziłem na tę mszę i choć były bardzo proste – bez organ – głoszone słowo i postawa liturgiczna o. Ożoga to była głębia.

Drugim, może nieco śmiesznym wspomnieniem, jakie nasuwa mi się na myśl w związku z przypisaną mu poranną eucharystią, jest sytuacja, w której zaspąłem na ministrancki dyżur. Byłem ośmio-, może dziewięcioletnim kajtkiem. Zamiast na 6:30 do o. Jana, przyszedłem na 7:30 do o. Józefa Steczka. Minęliśmy się w zakrystii i o. Jan popatrzył na mnie z poważną miną i rzekł: *Oj, Synu Marnotrawny, to ty nie wiesz na, którą się do kościoła przychodzi?* I od tego momentu często tak do mnie mówił: *Synu Marnotrawny*. W zamian zaś pozwalał do siebie mówić „Dziadek”. To był dla mnie ogromny zaszczyt. Notabene, gwoli uczciwości należy dopowiedzieć, że po tym „incydencie” w drzwiach o. Józef zląkł się nieco o moje ministranckie powołanie i przyniósł mi karton słodczy większy ode mnie, a wręczając go, powiedział: *Wiesz, o. Jan jest stary, ale on tak tylko żartował, nie jesteś marnotrawny*. Gdy opowiadałem to po paru latach ojcu Janowi, on uśmiechnął się i z przekąsem rzekł: *Po pierwsze: ja wtedy nie żartowałem, a po drugie: chyba coś mi się z tego kartonu należy, prawda?*

Z o. Janem często spacerowałem po naszym ogrodzie przy Alei Pracy. Wjeżdżałem rowerem i gdy tylko widziałem go przemierzającego alejki, podchodziłem i dołączałem się, korzystając z jego towarzystwa, które bardzo lubiłem. Opowiadał mi w czasie tych przechadzek o swojej chałupie w Trzebosi, co miała klepisko zamiast podłogi. O tym, jak to było z jego chrzcinami, jak składał maturę z geografii i zdał tylko dzięki życzliwości swojego profesora. Przywoływał niełatwe czasy PRL-u i barwnie wspominał o sposobach, którymi przechytrzał komunistów, wydając „Posłańca Serca Jezusowego”. Niemało mówił o cudach, z wielką prostotą i przekonaniem dzielił się doświadczeniem swoich „cudów”, np.: interwencją św. Józefa, który to załatwił mu pieniądze na budowę kaplicy szpitalnej (dokładnie wyliczoną brakującą sumę przyniósł ofiarodawca, po zawierzeniu sprawy Świętemu Cieśli). Z dużym poruszeniem wspominał doświadczenie pierwszego spojrzenia na komputer w Chicago w latach 80.

Kiedy zakwitły kasztany w roku 2018, każdy dzień przed egzaminem maturalnym rozpoczynałem rano mszą u Dziadka o 6:30. Kiedy zobaczył mnie pierwszego dnia, powiedział z właściwym sobie poczuciem humoru: *Co Synu Marnotrawny – jak trwoga to do Boga?* ... a kiedy wychodziłem, mówił: *Nic się nie martw, biorę tę twoją maturę na różaniec*.

Dziadek często rozmawiał ze mną o Facebooku, sam mimo urodzenia w 1934 r., miał na nim konto. Często chwalił mnie za posty, a kiedy na coś patrzył krytycznie, nigdy nie mówił „autorytarnie”, dawał uwagi, rady. Zachęcał i inspirował, nie ganił. To była relacja bardzo zwyczajnych chwil. Przez cały ten czas ojciec Jan był mi wielkim autorytetem, ale nigdy nie użył go do takiego sztampowego formowania mnie.

Jedne doświadczenie bardzo pięknego i pielęgnowanego przeze mnie we wspomnieniach „formowania bezpośredniego” zdarzyło się w ostatnim możliwym momencie. Dzień przed wyjazdem do nowicjatu odbyłem u Dziadka swoją spowiedź. Po rozgrzeszeniu powiedział mi: *Wiesz, ja Ci tego nigdy nie mówiłem, ale wiedziałem, że to się skończy wstąpieniem. Myślę, że będziesz dobrym jezuitą. Jeśli masz wątpliwości, czy to Twoja droga, módl się do Ducha Świę-*

tego o światło i jak Ci powie, że to nie to, nie bój się wrócić. Jeśli jesteś pewien, że to Twoja droga, módl się do Ducha Świętego o jego wsparcie. W nowicjacie wielokrotnie wracałem do tych słów. Wiele razy one mi pomogły otwierać serce przed Panem Bogiem, nie walczyć samemu.

W czerwcu, we wspomnienie Jan Chrzciciela – w nasze wspólne imieniny – zadzwoniłem do niego za zgodą ojca magistra nowicjatu w Gdyni z życzeniami. Na koniec rozmowy wyraźnie zadowolony z telefonu o. Jan powiedział do mnie: *Synu, ja bym Cię chciał teraz pobłogosławić*. Trzymając telefon nowicjacki, klęknałem, a z aparatu usłyszałem: *Benedicat vos omnipotens Deus, Pater, et Filius, et Spiritus Sanctus. To, Synu, było po łacinie* – powiedział Dziadek. *Wiem* – odpowiedziałem – *nas tu uczą łaciny*. Chwilę pomyślał i rzekł: *Tak, ale to już nie to samo*. I wspólnie się roześmialiśmy.

Po pierwszym roku formacji nowicjackiej przyjechałem do Wrocławia na krótkie tygodniowe wakacje. W tym czasie ojciec Jan przeżywał potrójny jubileusz: 50 lat kapłaństwa, 60 życia zakonnego, 85 życia. Dziadek zaprosił mnie po wspólnym obiedzie w refektarzu zakonnym na herbatę do swojego pokoju. Odbyliśmy bardzo mocną rozmowę duchową, dał mi dużo cennych wskazówek, wysłuchał moich trosk, przypominał mi, że idę przez życie z Panem, że On zawsze będzie mi błogosławił. Przed pożegnaniem i powrotem do nowicjackiego trybu życia poprosiłem go o modlitwę w intencji moich ślubów. Powiedziałem do niego: *Ojcze, proszę się modlić za mnie, o dobre przygotowanie i złożenie ślubów*. A Dziadek na to z całkowitym spokojem odrzekł: *Wiesz, dla Ciebie byłoby lepiej, żebyś umarł, wtedy mógłbym mówić Panu Jezusowi o Tobie bezpośrednio*.

W dniu ślubów, we wspomnienie męczeńskiej śmierci naszego patrona Jana Chrzciciela, zadzwonił do mnie i kazał przyjechać na herbatę. Zobaczyliśmy się w połowie września – jak się później okazało po raz ostatni. Cieszył się bardzo moim powołaniem, a ta jego radość była z kolei wielkim moim szczęściem, wszak zaczynałem wpatrzony w niego jako we wzór jako mały ministrant. Przy tym spotkaniu ojciec Jan wziął mnie, jak miał w zwyczaju, do siebie na herbatę i prosił, bym się porządnie uczył na studiach. Bardzo mu zależało, bym jako jezuita był dobrze wykształcony. Na pożegnanie w swoim stylu powiedział: *Jestem starym grzybem, jak umrę, to się nie martw, bo będę bliżej Pana i więcej Ci pomogę*.

I umarł. Najpierw naturalnie były łzy i smutek, o których pisałem na początku, a później, w myśl jego prośby o brak zamartwiania się, przyszedł do serca pokój, wynikający z przeświadczenia, że oto od teraz Dziadek oręduje za mną u Naszego Pana Boga.

Kilka tygodni temu był pogrzeb. Wszedłem do naszego domu zakonnego i pierwszy raz w życiu poczułem się w nim nieswojo. Stałem pod drzwiami Dziadka walcząc o miejsce z jego przyjaciółką Fazą i zapłakałem tam, rozumiejąc, że nasze następne herbaciane spotkanie musi zostać odłożone w czasie. Przeszedłem się z nostalgią ogrodowymi ścieżkami i miałem poczucie, że po równoległych niebieskich ścieżkach on teraz kroczy ze mną.

Ojcze Janie, Dziadku, byłeś mi mistrzem i przykładem. Mów o mnie Panu, jak obiecałeś! **Jan GŁĄBA SJ**



SOSNA RABINA

Ta fotogeniczna sosna ze zdjęcia rośnie sobie niedaleko wambierzyckiej bazyliki, w górę od niej, za cmentarzem, przy malowniczym i dość wąskim „asfalcie” wiodącym w stronę Radkowa.

Dla nas historia zaczęła się 7 lat temu od kupna w naszym kościelnym kiosku niepozornej książki „Wieczory pod sosną. Rozmowy z młodymi o Bogu i ludziach” autorstwa Ojca Jana Ożoga. Okładka stanowiła reprodukcję czarno-białej fotografii sosny w podobnym do mojego współczesnego ujęciu. Zwykle chłonęliśmy każde mówione i pisane słowo Ojca Jana, więc wkrótce książka ta stała się naszą wieczorną lekturą. We wstępie Ojciec Jan dokładnie umiejscowił sosnę z okładki, wyjaśniając także, że wprowadzając owe wieczorne rozmowy pod sosną z grupą młodych są fikcją literacką i pierwowzory bohaterów dialogów, o ile istnieją, pochodzą z różnych okresów, to tę sosnę zna już od 1956 r.

Oczywiście zaraz za pomocą map satelitarnych w Google dokładnie zlokalizowałem tę samotną Sosnę i wtedy moja żona rzekła, że może zaproponowalibyśmy Ojcu Janowi wycieczkę do Wambierzyc i spacer pod jego Sosnę. Mnie do tego nie trzeba było namawiać. W dzień powszedni, przy pięknej wrześniowej pogodzie znaleźliśmy się wśród uroczych krajobrazów Ziemi Klodzkiej, pełnych czułych wspomnień i dla nas, i dla Księdza. Na początek wzięliśmy udział w mszy dla turystów, a Ojciec Ożóg zaskoczył nas bardzo, gdy szybko i bez wysiłku pokonał wielkie schody wiodące do bazyliki.

Pod Sosną była pierwsza sesja zdjęciowa i zaczęły się opowieści o związkach Ojca Jana z Wambierzycami, kontynuowane potem nieco dalej w malowniczym otoczeniu przy posiłku

pod lipami okalającymi posąg św. Jana Nepomucena na wyniosłej kolumnie.

Jeszcze jako kleryk jezuicki w roku 1956 został skierowany na praktykę wakacyjną do Wambierzyc. Tu przeszkolono go jako przewodnika po zespole Bazyliki dla grup pielgrzymów i wycieczek. I odtąd przez wiele lat, nawet jako ksiądz, spędzał lato pomagając miejscowym jezuitom w tej pracy. Poznał Góry Stołowe i bardzo przywiązał się do tego niezwykłego miejsca. A Sosna była celem jego wieczornych spacerów. Roztacza się od niej rozległy widok w kierunku północnym ku Ratnu Dolnemu.

We wrześniu 1970 r. jako duszpasterz małej grupy akademickiej przy naszej parafii wybrał się ze studentami na dwutygodniowy pobyt do Wambierzyc. Wyjazd był, jak to często ówczesnie, nieformalny, zakamuflowany. Oni mieszkali na kwaterach, on w domu zakonnym (bazylika była dawniej pod opieką jezuitów). Miejscem pierwszego spotkania popołudniowego stała się Sosna, zwana odtąd Sosną Rabina, bo taki był wtedy pseudonim Ojca Jana.

Zaproponowaliśmy Ojcu wyjazd do Pasterki na północnej krawędzi Gór Stołowych. Okazało się, że właśnie tego miejsca nie zna. W ogóle mało kto z podziwiających Szczeliniec Wielki wie o Pasterce i zapuści się na drugą stronę tej góry. A tam dopiero są piękne plenery i prawie żadnego człowieka. Jest tam stare schronisko PTTK, w którym też, zwłaszcza we wrześniu, jest pustawo. Tam zasiedliśmy przy stołach na dworze i raczyliśmy się naprawdę dobrymi pierogami ruskimi. Siedzieliśmy tam parę godzin, prowadząc rozmowy o czasach studenckich, jako że studiowaliśmy w tych samych latach we Wrocławiu, i o jeszcze wielu innych sprawach.



zdjęcia: Bogdan Mazgis

Jeszcze trzy razy wyjeżdżaliśmy z Ojcem Janem w kolejnych latach. Cel był ten sam, choć raz pojechaliśmy w Góry Sowie, aby pokazać Ojcu nasze ulubione miejsce widokowe nieopodal Przełęcz Walimskiej. Potem były także pierogi w Glininie i krótki postój na tamie zbiornika na Bystrzycy w Lubachowie. Następnym razem Ojciec Jan znowu wybrał Wambierzyce, Sosnę i Pasterkę z pierogami.

W kolejnych latach jakoś nam się nie składało lub Ojciec Jan skarżył się na zdrowie. Ale nadzieję na kolejne wyjazdy mieliśmy do końca. A teraz...? Pozostaje nam napisać list.

Drogi Ojciec Janie!

Nie wiedzieliśmy, na co Ojciec zachorował, gdzie Ojciec leży, co to znaczy, że stan jest ciężki. Te pytania były w naszych myślach obok innych, które zwykle towarzyszyły naszym relacjom z Księdzem: „Gdzie tym razem pojedziemy? Czy znowu Wambierzyce i Pasterka? Jakie nasze sprawy Ojcu powierzymy?”

Naturalna więc się wydała kolejna wiadomość, że stan zdrowia się poprawia. Zatem można marzyć o kolejnej wiecznej i wielogodzinnej rozmowie z Ojcem.

Aż tu nagle nowe doniesienie: stan zdrowia jest ciężki. Pomyłka? Może to stary komunikat się zaplątał? Przecież zdążyliśmy się już ucieszyć, zawiadomić bliskich, rozesać zdjęcia z Fazą warującą przed drzwiami pokoju Ojca...

Wiadomość o śmierci Księdza przyjęliśmy spokojnie pamiętając, że Ojciec zapewniał, że jest przygotowany, że pragnie i jest ciekaw tego Nowego Życia po „nieznaczonym skarceniu”. Tylko trochę się Ojciec targował z Panem Bogiem co do sposobu przejścia. A więc dla Ojca to korzyść, tylko dla nas wydaje się stratą.

Dni płyną, dużo myślimy o Ojcu i narasta poczucie braku. Już nie będzie tych wspaniałych felietonów w Głosie, nie odbędziemy długich rozmów w pięknych sudeckich plenerach. Właśnie, ale przecież zawsze polecaliśmy Księdza modlitwom rozmaite trudne sprawy naszych bliskich. A teraz otwierają się dla naszych spraw nowe możliwości wstawiennictwa. Będziemy prosić Ojca o orędownictwo za nami i naszymi bliskimi. Tymczasem prosimy Jezusa Chrystusa, by przyjął Ojca do swego Królestwa na miejsce z góry dlań przygotowane.

Krystyna i Bogdan MAZGISOWIE



Zapamiętam ojca Jana jako dobrego, wyrozumiałego, z dystansem, z humorem, z pewną nutą sarkazmu, modlącego się, błogosławiącego, wrzucającego wszystkich ludzi do worka modlitewnego i już od wielu lat oczekującego na pójście do Pana, wprost do Nieba. Taki miał plan.

Miałam z ojcem Janem spotkania medyczne i w konfesjonale. W konfesjonale zawsze wysłuchał moich grzechów, chwilę milczał, potem mówił: *Bądź cierpliwa, żałuj za grzechy i nie wracaj już do nich*. Rzadko mówił naukę... Ale tak mnie to poruszało i wzruszało, że naprawdę płakałam nad swoimi grzechami i miałam ogromne postanowienie poprawy. Bo w tych słowach słychać było wielkie miłosierdzie Boga.

Pamiętamy o. Jana zawsze z różańcem w ręku. Był ukochanym dzieckiem Maryi. Mówił, czuł i myślał jak Jej dziecko. Pełen miłującej uwagi, zawsze skupionej na Panu Bogu, życzliwy i otwarty na ludzi, mały misjonarz Ducha Świętego, bo wszystkich pocieszał. Pełen Jego darów, pogody ducha, ciepłego poczucia humoru, dojrzałej, świadomej mądrości, pokory i zdrowego dystansu do siebie. Na pewno nie chciałby, żebyśmy mówili o nim – chciałby, żeby Pan Bóg był

Ojciec Jan był mądrym i pełnym empatii kapłanem, ale też przede wszystkim człowiekiem. Niósł swoją posługę fizyczną obecnością, a także pięknym słowem.

Pisał w „Głosie Pocieszenia”, w artykule pt.: „Więcej Radości” tak: *Wielcy święci radzą mi spojrzeć na żłóbek betlejemski lub na Krzyż na Golgocie i nie tylko uświadomić sobie to, że w żłóbku i na Krzyżu jawi się mi w ludzkim ciele prawdziwy Syn Boży, który niesie radosną nowinę o moim własnym zbawieniu, ale także to, że jest On Budowniczym mojego domu w niebie. To dziwny dom, zbudowany z mniejszych lub większych zasług, ale naprawdę mój własny na zawsze i naprawdę przez Syna Bożego zbudowany. Będzie on na pewno strzechą krytą, o jednej jasnej izbie z dwoma oknami (na południe i na zachód), z klepiskiem zapewne, bo wątpię, by na podłogę wystarczyło moich zasług, z ceglany piecem przy drzwiach wejściowych, na którym i zupę z ziemniaków ugotować można, i chleb upiec, a nawet przespać się, jeżeliby na drewnianym łóżku z ze słomą zamiast materaca i płachtą zamiast prześcieradła miejsca nie stało. Z sienią, oczywiście, i z wysokim progiem. Z podwórkiem, a jakże, na którym będą rosnać dwie topole zwane, nie wiadomo dlaczego, limbami i rozłożysta wierzba wcale nie płacząca, bo co płakać, kiedy tyle radości na tym niebieskim świecie. I bardzo gęsta murawa na podwórku, by utrudzony radością, zbawiony „stary grzyb” (tak sam siebie nazywał o. Jan – przyp. redakcji) mógł się na słońcu wyciągnąć w niedzielę po sumie. A za drewnianym płotem nie-*

Natomiast moje medyczne z nim spotkania to ciekawa historia. Kiedyś, gdy poszłam ojcu „pomóc”, skrzywiłam igłę w penie do podawania insuliny, zepsułam pasek do pomiaru cukru i na koniec jeszcze chyba coś wylałam... I kiedy biadoliłam nad sobą i swoją niezdarnością, ojciec Jan powiedział, że przecież się starałam, a jemu było miło, że na nim mogłam trochę poćwiczyć. A kiedy wychodziłam zawsze mówił: *Niech Pani jeszcze do mnie przyjdzie...*

Moje ostatnie spotkanie z ojcem Janem było we wtorek, a w środę pojechał w ostatnią swoją podróż do szpitala. W czasie tego spotkania, mimo objawów choroby, ojciec Jan żartował, uśmiechał się i był bardzo cierpliwy i wdzięczny za wszystko. Jakoś tak spontanicznie powiedziałam, że zawsze ojciec mnie błogosławił, a dzisiaj to ja ojca pobłogosławię na to chorowanie i zaznaczyłam na czole ojca znak krzyża. Uśmiechnął się, chyba trochę zaskoczony, ale podziękował i powiedział: *Niech Pani do mnie jeszcze przyjdzie...*

Nie zdążyłam przyjść, bo szpital, bo oddział covidowy zamknięty. Ale przyjdę Ojciec na cmentarz, byśmy mogli chwilę porozmawiać, może nie narozrabiam tym razem za wiele...

Danuta

uwielbiony. Ten, którego miłował ponad życie. Bo Pan kocha tak człowieka, że zachwycą się nim już tu na ziemi, nosi na swoich rękach i broni jak orzeł pisklę. Nigdy się nie zniechęca ani nie poddaje, aż utwali swoje Królestwo.

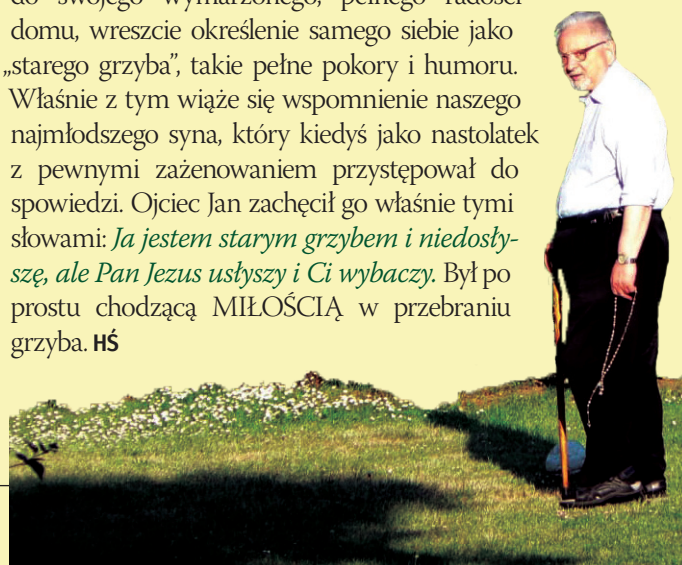
Dziękujemy dobremu Bogu za dar, jakim był Ojciec Jan. Pamiętajmy, że on zabrał wszystkich przyjaciół w swoim worku modlitewnym do nieba, więc możemy przypuszczać, że rychło go tam spotkamy.

Odnowa w Duchu Świętym KANA

wielki kawałek roli, żeby na niej można było zasadzić wczesne ziemniaki na przednówek.

I w niedzielne popołudnie zachodzą do mnie rodzice, rodzeństwo, krewni, przyjaciele, znajomi rozmaici, a na samym końcu sam Pan Bóg – dokładnie taki zwyczajny, kiedy zaproszony zaszedł na wesele do Kany Galilejskiej. I to będzie prawdziwa radość, która wyrosnie wśród prawdziwych, jakże małych ziemskich radości.

Przemawia do nas ten ciepły i plastyczny obraz własnego, prostego domu w niebie, zbudowanego przez Syna Bożego. Jakże to wszystko aktualne: zbliżające się (w chwili pisania tego tekstu) Święta Bożego Narodzenia, śmierć Ojca Jana, który odszedł do swojego wymarzonego, pełnego radości domu, wreszcie określenie samego siebie jako „starego grzyba”, takie pełne pokory i humoru. Właśnie z tym wiąże się wspomnienie naszego najmłodszego syna, który kiedyś jako nastolatek z pewnymi zażenowaniem przystępował do spowiedzi. Ojciec Jan zachęcił go właśnie tymi słowami: *Ja jestem starym grzybem i niedostyśszą, ale Pan Jezus usłyszysz i Ci wybaczy*. Był po prostu chodzącą MIŁOŚCIĄ w przebraniu grzyba. HŚ



Czwartek, 3 grudnia 2020 r., był najsmutniejszym dniem dla naszej grupy medytacyjnej. Tego dnia odszedł do Pana nasz opiekun duchowy Ojciec Jan Ozóg. Ciężko zachorował trzy tygodnie wcześniej. W ostatnich dniach przed śmiercią stan Jego zdrowia poprawiał się i mieliśmy głęboką nadzieję, że Ojciec wyzdrowieje. Pan Bóg chciał inaczej.

W naszej grupie zwyczaj był taki, że w każdy czwartek o 19.00 zbieraliśmy się przed całą Ojca. Następnie zaproszeni do środka słuchaliśmy jego słowa, które zawsze odnosiło się do Ewangelii. Ojciec Jan był wzorem jezuickiej dyscypliny – punktualny i przygotowany do spotkania z nami. Zawsze miał dla nas wydrukowane streszczenie tego, o czym mówił, abyśmy w domu mogli jeszcze raz to przemyśleć. Po spotkaniu z Ojcem szliśmy do sali na górę medytować.

Nie zapomnę jego ciepłego, naturalnego uśmiechu, którym obdarzał wszystkich. Nie zapomnę jego spokojnego i łagodnego głosu, który pomagał nam zachować duchowy ład i ufność w Bogu. Był obdarzony poczuciem humoru, nie zdarzyło się chyba ani razu spotkanie, na którym nie śmialiśmy się z jego żar-

tów i anegdot. Posiadał też rzadki dar dystansu do siebie i autoironii. Często żartował z samego siebie, nazywając się „dziadkiem” i „starym grzybem”.

Pomimo wieku i stanu zdrowia był człowiekiem pogodnym, uśmiechniętym i akceptującym swój los. Czekał ze spokojem na spotkanie z Bogiem. Za każdym razem, kiedy na zakończenie nas błogosławił, mówił: *Jak nie umrę, to spotkamy się w następnym czwartek, a jak umrę, to też się spotkamy.*

Niestety, nie mamy ani jednego zdjęcia z Ojcem Janem, nie przyszło nam to do głowy. Zostały po Nim wydrukowane teksty, które co tydzień regularnie dla nas przygotowywał. W kwietniu 2020 r. Ojciec Jan pisał do naszej grupy: *Niech zatem jak zawsze, tak i teraz, z całą swobodą i jawnością Chrystus będzie uwielbiony w moim cieles: czy to przez życie, czy przez śmierć.* (Flp 1, 20)

Dzisiaj czas smutku powoli ustępuje czasowi pogodzenia się z tym, że Ojca Jana nie ma z nami. Bardzo nam Go brakuje, lecz za sprawą Jego świadectwa i życia czujemy, że jest z nami w każdy czwartek i nie tylko. **Cezary KONWA**

Z MYŚLI O. JANA o modlitwie

Ojciec Jan Ozóg w 1970 r. prowadził w jezuickiej parafii przy al. Pracy grupkę Duszpasterstwa Akademickiego. Takie to były czasy, że musiał używać pseudonimu. Wybrał RABIN. Po latach, w 2004 r. napisał książkę *Wieczory pod sosną. Rozmowy z młodymi o Bogu i o ludziach.* (Wydawnictwo Św. Pawła, 2006 r.) i w niej (w rozdziale 14) znalazłam Jego ciekawe myśli o modlitwie, jej sposobie i celu. Warto zapamiętać tę katechezę, by poznać jak głębokim kapłanem był o. Jan. Sosna do dziś rośnie na trasie z Wambierzyc do Ratna.

Modlitwa rodzi się z zachwyty, a zachwyty z tak wielkiego człowieczego zapatrzenia się w Pana Boga, że to zapatrzenie już z jakimś zauroczeniem graniczy. Zdaniem Rabina tak byli rozmodleni Adam i Ewa w raju, przed popełnieniem grzechu pierworodnego. *Modlitwy uczy nas Pan Jezus przez to, że sam się modli, i ta Jego modlitwa – nocna zazwyczaj i w samotności – kieruje się zawsze do Ojca Niebieskiego.* Ojciec Jan wiedział, że *Apostołów pociągająca postawa synowska, dziecięca a przez to niezwykle śmiała i bezpośrednia w modlitwie Chrystusa,* bo On był świadom, że jest Synem Bożym.

Dalej duszpasterz mówi, że *modlić się trzeba w skrytości, że wielomówstwo na modlitwie i wielkie słowa nic nie znaczą, bo liczy się w niej serce, a istotnym jej warunkiem jest z serca płynące przebaczenie, i czystość serca i szukanie królestwa Bożego. A to oznacza dziecięcy powrót do Ojca Niebieskiego. Człowiek tak nastawiony ku Bogu nabiera nowej cechy /.../ staje się w modlitwie błagalnej odważny, a nawet natrętne wobec Ojca Niebieskiego, wie jednak i to, że jest umiłowany i dlatego modli się wytrwale, ale pokornie”.*

Właśnie pokora uświadamia mu /.../, że jest tylko przybranym dzieckiem Bożym i że choć miłość Boga jest nieskończona i żadnymi warunkami wstępnymi nie obwarowana, to jednak ono samo z natury stworzeniem jest tylko i to stworzeniem grzesznym. /.../ Wiara w Jezusa prowadzi dziecko Boże do poznania Ojca Niebieskiego, ponieważ On jest prawdziwą Drogą do Ojca, jest Prawdą, do której człowiek zmierzać powinien, a także życiem, które nigdy nie ustaje. A z tej wiary wspaniałej miłość wykwiła niepodziewanie i owocuje zachowywaniem Jego słów i nakazów i zjednoczeniem z Ojcem w Jezusie Chrystusie.

Skutkiem naszego uczestnictwa w osobowych relacjach Ojca Niebieskiego z Synem jest to, że ilekroć modlimy się do Ojca, za każdym razem na nowo nawiązujemy z Nim więź i pozostajemy we wspólnocie z Nim i z Jego Synem Jezusem Chrystusem. Ten darmo dany dar przybrania za dzieci domaga się od nas jednak nieustannego nawracania się do nowego życia. /.../

Nasza modlitwa do Ojca Niebieskiego musi w nas zrodzić dwie podstawowe sprawności: Najpierw trzeba nam wyrobić w sobie pragnienie i chęć upodobnienia się do Boga (bo jesteśmy stworzeni na Jego obraz i podobieństwo). Drugą sprawnością to wstydlive serce – czyli usposobienie pokorne i pełne niezachwianej ufności, bo dzięki temu staniemy się jako dzieci, a to niesłychanie ważne, bo tylko maluczkim Ojciec się objawia. Wg św. Jana Kasjana wstydlive serce to stan duszy, który wyrasta z zapatrzenia się w Boga samego i z żarliwego umiłowania.

Za modlitwę najdoskonalszą św. Tomasz z Akwinu uznał Modlitwę Pańską, bo w niej zawarte są prośby o to wszystko, co każdemu człowiekowi jest potrzebne i że są one w takiej kolejności ustawione w jakiej ich potrzebujemy. **Cytaty wybrała GP**

HOMILIA O. JACKA MACIASZKA SJ



Leon Wyczółkowski, Wiosna/Wikimedia Commons

Święty Jan Paweł II, do którego śp. o. Jan Ożóg miał duże nabożeństwo i był szczęśliwy, kiedy relikwie papieża, jeszcze jako błogosławionego, za ogromnym pragnieniem i staraniem tutejszego Duszpasterstwa Ludzi Pracy (m.in. śp. pana Michała Haniszewskiego) znalazły się w naszej świątyni, w swoim testamencie napisał:

Z możliwością śmierci każdy zawsze musi się liczyć. I zawsze musi być przygotowany do tego, że stanie przed Panem i Sędzią – a zarazem Odkupicielem i Ojcem.

A śmierć przychodzi nieoczekiwanie i zawsze za wcześnie. Zwłaszcza dla tych, którzy pozostają w smutku po odejściu osoby bliskiej, kochanej. Ale śmierć jest faktem, który trzeba nam, czy chcemy tego, czy się przed tym bronimy, wliczyć w życie, tak jak każdy inny element naszej ludzkiej egzystencji, tutaj, na ziemi.

Ale też śmierć nie powinna wprowadzać nas, chrześcijan, w stan przygnębienia, depresji, lecz powinna być bodźcem do rozmyślań nad sensem naszego życia, naszego istnienia i, jeśli potrzeba, nad jego poprawą. Powinna kierować naszą uwagę ku odpowiedzi na pytanie: jak przeżyć swoje życie tu, na ziemi, żeby dobrze żyć, a po śmierci osiągnąć zjednoczenie z Chrystusem w Niebie. Niby proste? A jednak wiemy, ile to czasem stwarza nam problemów.

Wiemy też, że można przewidująco: a bo to wiek, bo choroby, bo tak jak w dzisiejszym czasie wirus, oczekiwać śmierci. Jednak ona nas zawsze zaskakuje. Tak jak zaskoczyła nas śmierć Dziadka, Ojca Jana. Gdy na stronie parafii i w ogłoszeniach parafialnych pojawiła się informacja, że stan zdrowia przebywającego wówczas już od kilku dni w szpitalu o. Jana jest poważny i jezuita prosi o modlitwę w jego jak i pozostałych chorych intencji, chyba wszyscy, którzy go znali, rozpoczęli modlitewny szturm do nieba.

A gdy potem przyszła informacja o jego śmierci, wielu pograżyło się w zadumie i także w smutku, bo jakże to: parafia, nasza wspólnota bez Dziadka, bez o. Jana? Należał do ludzi, którzy tak wrosli w tę wspólnotę, w tę parafię, że bez niego, jak to ujęła jedna z parafianek w mailu, to już nie będzie to. No właśnie, nieuchwytnie „to”. To coś, co miał o. Jan w sobie, jako człowiek, ksiądz, jezuita, powiernik spraw ważnych dla wielu ludzi.

Ojciec Jan, który w ubiegłym 2019 r. obchodził 70-lecie życia zakonnego i 60-lecie kapłaństwa, na wydanym z tej okazji pamiątkowym obrazku umieścił cytat z 2. Księgi Samuela: *Zabrałem cię z pastwiska spośród owiec...* Ojciec Jan, opowiadając nieraz o swoim dzieciństwie spędzonym na Podkarpaciu, w pięknej Trzebosi, z której był bardzo dumny i lubił ją odwiedzać, wspominał o pasaniu

krów w dzieciństwie, a wcześniej, gdy był całkiem mały – gęsi. I nawiązywał wówczas do swej późniejszej już posługi kapłańskiej jako do pasterzowania. Ten obraz, obraz Chrystusa jako Dobrego Pasterza nie był mu więc obcy. Ten obraz Pasterza, tak głęboko zakorzeniony w Piśmie Świętym, o czym mówi też przed chwilą odczytana Ewangelia, mocno ukształtował jego zakonne i kapłańskie życie. On, na wzór Pana Jezusa, także chciał być (i wiemy to, że był) dobrym pasterzem, kochał ludzi i im służył. Ludzie starzy i młodzi garnęli się do niego, a wchodził w najróżniejsze ich sytuacje życiowe, doradzał, pocieszał, udzielał sakramentów. Często i chętnie posługiwał w sakramencie pojednania – spowiedzi. Angażował się w kierownictwo duchowe, a kiedy trzeba było pomóc materialnie, dzielił się swoim groszem albo, gdy przekraczało to jego skromne możliwości finansowe, mówił: *Proboszcz – im trzeba pomóc.*

Dla wszystkich miał czas, dla wszystkich był dostępny. Ta bliskość ludzi zawsze była dla niego ważna. On kochał „bycie księdzem”, jezuitą, ale zawsze – pasterzem. Czuł się dobrze wśród parafian – znał wielu z imienia, nazwiska, wiedział kim są, gdzie pracują. Był pasterzem zwróconym ku ludziom. Dzielenie swojego życia dla innych sprawiało mu radość. A miał bardzo bogate doświadczenie i życiowe, i kapłańskie. Parafianie i my – współbracia zakonnicy – chętnie korzystaliśmy z jego rady, jego posługi kapłańskiej. Parafianie przychodzili na jego dyżury spowiedzi, a także poza dyżurami do jego pokoju, a on zawsze miał czas, miał słowo pokrzepienia, otuchy.

Ale jego zasadniczym, kapłańskim, pasterskim priorytetem, misją było przypominanie ludziom, że Bóg istnieje i że jest On Dobrym Pasterzem. A Ojciec Jan był dobrym Jego naśladowcą.

Wspomniany już na początku św. Papież Jan Paweł II mówił, że *człowiek jest drogą Kościoła*. Takim pasterzem chciał być o. Jan. Blisko ludzi, blisko ich rozlicznych, nieraz pogmatwanych dróg. Swe owce kochał i służył im bez wyjątku. Także, a może zwłaszcza te niedoskonałości, zagubione w dzisiejszym świecie, nieraz zestresowane. Realizował ten symboliczny obraz Dobrego Pasterza w swo-

im życiu. Nieraz jako proboszcz korzystałem z jego rady pytając: *Jak to zrobić?* A on mówił: *Trzeba zrobić*, i chętnie sam się angażował i pomagał.

O. Jan posługiwał jako kapłan w wielu miejscach w Polsce i na świecie (w Chicago choćby), a także w wielu ważnych dziełach naszej jezuickiej Prowincji. Był m.in. redaktorem naczelnym „Posłańca Serca Jezusowego”, gdy pismo pod jego kierownictwem osiągało miesięczny nakład ok. 300 tys. egzemplarzy. A były to trudne czasy dla wydawnictw katolicki. Z jednej strony był głód prasy religijnej, ale z drugiej strony musiał o. Jan nie tylko pisać artykuły, co bardzo lubił i dobrze to robił, ale też, co było o wiele trudniejsze, organizować deficytowy wówczas papier drukarski, a także borykać się ze wszechobecną i mocno ingerującą, także w treści religijne, cenzurą komunistyczną. Także załatwiać sam druk, bo drukarnie były tylko państwowe, a więc było z tym wiele kłopotu. Ale robił to w duchu posłuszeństwa i z miłością.

O. Jan dobrze znał kilka języków: łacinę, grekę, ale i języki nowożytny, i z tej umiejętności korzystał, przekładając na język polski wiele tekstów i książek, np. „Ćwiczenia duchowe” św. Ignacego Loyoli czy „O naśladowaniu Chrystusa” Tomasza à Kempis. Współbraci ubogacali i rozweselał barwnymi kronikarskimi sprawozdaniami-felietonami pisanymi do „Naszych spraw”, a potem „Naszych wiadomości”. Był duszą wspólnoty, jego liczne, jakże barwne, często z przymrużeniem oka opowiadane historie i anegdoty przyczyniały się do tworzenia dobrej atmosfery w domu, we wspólnocie. Wspominając np. dziecięce lata mówił, że wraz ze swoim cioteczynym bratem Józkiem (późniejszym też jezuitą, również już śp. br. Józefem Ożogiem) dawno by tę drugą wojnę zakończyli, tylko im sołtys przeszkodził. A było to tak, że gdy usłyszeli końcem września 1939 r., że za Trzebosią, pod lasem, stacjonują czołgi niemieckie, wybrali się tam obaj (5-letni Jan i 6-letni Józio), żeby Niemców karabinami zrobionymi z patyków przepędzić. Niestety, jak mówił, w drodze spotkali sołtysa, który dowiedział się o celu ich wyprawy, wyperswadował im to laniem. I tak, jak mówił, uśmiechając się o. Jan – byli oni pierw-

szymi, którzy na własnej skórze doświadczyli wojny w Trzebosiu.

Św. Ignacy Loyola zachęcał nas, jezuیتów, do wielkich pragnień, a czyż może być coś większego i piękniejszego od pragnienia nieba? O. Jan lubił mówić o szczęściu wiecznym. Tęsknił do Chrystusa, miał pragnienie nieba. Zwłaszcza w ostatnich latach, często i z pogodą ducha wypowiadał swoje pragnienie spotkania z Panem Jezusem. Było to szczere pragnienie spotkania Pana, którego głosił przez całe swe życie słowem i czynem. Jedną z cenniejszych lekcji pragnienia nieba dał w ostatnich dniach, gdy był już bardzo chory. Pani doktor, z którą kontaktował się proboszcz, o. Janusz, mówiła, że o. Jan dał personelowi medycznemu w szpitalu, pomimo swego cierpienia, budujące świadectwo odchodzenia z tego świata. Świadectwo wiary i zaufania Bogu.

W tym miejscu pragnę gorąco podziękować wszystkim opiekującym się o. Janem, tak we wspólnocie (pani Krysi, pani Lidii, współbraciom w zakonie), jak i całemu personelowi medycznemu w szpitalu, tak ofiarne w tym szczególnym i ciężkim czasie pandemii posługującemu chorym, w tym o. Janowi.

O. Jan bardzo kochał sztukę, malarstwo, muzykę. Kiedyś przy jakiejś okazji mówił o malarstwie Leona Wyczółkowskiego. Ten żyjący na granicy wieków, bo w latach 1852–1936, artysta malarz jeden ze swoich obrazów obszył płótnem i poprosił rodzinę, aby otworzyli go dopiero po jego śmierci. Leon Wyczółkowski przeżył 84 lata. Na jego pogrzebie były tłumy ludzi, dużo duchownych. Po jakimś czasie zebrała się rodzina, by otworzyć ten tajemniczy obraz: przedstawiał on pokój, w którym malarz najchętniej pracował w Gościeradzu koło Bydgoszczy. Na parapecie okna leży książka niedomknięta, jak gdyby ktoś przed chwilą skończył ją czytać, fotel tak jakby ktoś przed chwilą z niego wstał. Otwarte okno, odsunięta firana, poruszana lekkim zefirem, jakby ktoś odsłonił firankę i wyszedł na zewnątrz. Przez okno widać pięknie kwitnące drzewa, podobnie zresztą jak z pokoju o. Jana na wiosnę i może dlatego ten obraz tak mu się podobał. Pod obrazem jest napis „Wiosna”. Sam artysta tak opisywał widok: *Pozostawiona na parapecie otwarta książka to znak nieobec-*

ności, tym razem jeszcze chwilowej, ale będącej jakby próbą generalną przed definitywnym odejściem.

Interpretatorzy jego malarstwa mówią, że tak właśnie wyobrażał sobie swoją śmierć. Nie jako koniec wszystkiego, nie jako ból, żal, smutek, rozpacz, ale jako przejście z życia ziemskiego do raj. Do ogrodu kwitnących jabłoni, gdzie już nie ma chorób, śmierci, ale jest wieczna radość, nieskończona wiosna, pełnia życia z Bogiem i świętymi. A więc nie koniec, a Nowe Życie.

Gdy wejdziemy do „naszego” ogrodu, na wiosnę, ale nie tylko, przy alei Pracy pomyślimy sobie, że Dziadek chodzi po ogrodzie rajskim, jak kiedyś chodził z Fazą po tym ogrodzie, kopiąc jej piłkę, a my śmialiśmy się, że Fazę rozmodlił, bo kroczyła z nim krok w krok, gdy odmawiał w ogrodzie różaniec. A ona z kolei na starość nauczyła go kopać piłkę. Ojciec Jan chodzi teraz po rajskim ogrodzie, uśmiecha się do nas, nucąc swój ulubiony Psalm 27:

Pan światłem i zbawieniem moim:

kogóż mam się lękać?

Pan obroną mojego życia:

przed kim mam się trwożyć?

O jedno proszę Pana,

tego poszukuję:

bym w domu Pańskim przebywał

po wszystkie dni mego życia,

abym zażywał łaskawości Pana,

stale się radował Jego świątynią.

Wierz, iż będę oglądał dobroć Pańską w ziemi żyjących.

A teraz o. Jan już nie tylko wierzy, ale ogląda swego Pana i Boga twarzą w twarz.

Niech osoba Ojca Jana, kapłana, zakonnika, jezuitę, dobrego Pasterza i naszego Dziadka pomoże nam jeszcze bardziej żyć po Bożemu, uczciwie pracować, a kiedyś otrzymać nagrodę Nieba. Amen.



UROCZYSTOŚCI POGRZEBOWE ŚP.



O. JANA OŽOGA SJ – 14.12.2020 R.



zdjęcia: Jacek Kucmarz

Uroczystości pogrzebowe zgromadziły licznych wiernych parafii św. Klemensa Dworzaka, przedstawicieli wszystkich grup parafialnych, przyjaciół, znajomych z całego Wrocławia – ludzi, którzy o. Jana kochali. Mszy Świętej przewodniczył o. Prowincjał Jarosław Paszyński, homilię wygłosił o. Ja-

cek Maciaszek, poprzedni proboszcz parafii (patrz wyżej), Mszę Świętą koncelebrowali współbracia ze wspólnoty, jezuici reprezentujący wspólnoty zakonne całej prowincji. Dla wielu z nich był o. Jan na jakimś etapie formacji spowiednikiem, doradcą duchowym i mistrzem. **JŚ**

W TYM SAMYM CZASIE W TRZEBOSI



Równoległe do Mszy Świętej pogrzebowej na Alei Pracy została odprawiona Msza Święta w Trzebosi, rodzinnej parafii ojca Jana. Ks. Józef Fila, proboszcz parafii, zaprosił na nią okoliczne duchowieństwo, parafian, a przede wszystkim krewnych ojca Ożoga, a wśród nich jego kuzynkę Janinę Niezgodę z córką Danutą i Irene Bartoń, która nam przesłała zdjęcia.

Ojciec Jan bardzo kochał rodzinną Trzeboś, a zdjęcia świadczą, że z wzajemnością. **JŚ**

JAK CI DZIĘKOWAĆ

Leopold Staff

*Jak Ci dziękować – żeś mi dał tak wiele,
iż jestem w życiu jak ów gość przygodny,
co zaproszony został na wesele
niespodziewanie i nie odszedł głodny.*

*Duszą spokojną wstecz się nie oglądam
za przeszłym dobrem, które już nie wróci.
I w swej radości niczego nie żądam,
tylko dziwuję się, że radość smuci.*

*Jesień ma złotą pogodą się głosi,
o pełnym ciszy, łagodnym wieczorze.
I rozczulone serce moje wznosi
okrzyk zachwytu: „Bóg Ci zapłać, Boże”.*



Zredagował zespół: Mariusz Bodynek, Barbara Ćwik, Anna Dominiak, Iwona Kubiś,
Jacek Kuczmarz, Grażyna Pańko, Kinga Tomaszewska

Opracowanie graficzne i przygotowanie do druku: Barbara Ćwik

Zdjęcia na okładce: www.jezuici.pl, Anna Dominiak, Bogdan Szyszko.

Składamy serdeczne podziękowania wszystkim autorom tekstów i zdjęć
oraz osobom, które zaangażowały się w powstanie tego numeru „Głosu Pocieszenia”.